

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

W WAŻNEJ CHWILI.

Ostatnie dni przyniosły zbiorowisku narodów i plemion żyjących pod berłem dynastyi habsburskiej, szereg zmian kierowniczych osobistości. Śmierć Aerenthala przyniosła nam nowego ministra spraw zagranicznych i prawdopodobnie nowy kurs polityki zagranicznej. Pozornie spowodowała ona ustąpienie wspólnego ministra skarbu Buriana i powołanie na jego miejsce Bilińskiego, co opróżniło fotel prezydyalny Koła polskiego. Poza zmianami osobistemi zaszły ważne zmiany polityczne. Rząd austryacki wszedł na drogę bezwzględnych represyi względem swoich włoskich poddanych rozwiązując bezprawnie radę miejską i radę nadzorczą Poli, równocześnie starając się przeprowadzić ugodę czesko-niemiecką, wreszcie w sejmie węgierskim udało się Kuenowi oderwać Koszutowców od opozycyi i przybliżyć tem samem załatwienie reformy wojskowej, której przyszłość zdawała się, bez równoczesnej reformy wyborczej, mocno problematyczną. Wszystkie te wypadki łączą się w jeden splot. Wspólny rząd, zmieniając zagraniczną oryentacyę polityczną, musi zmienić i wewnętrzną. Ze oryentacya zagraniczna się zmienia, widać przedewszystkiem z „Zeitu“, który od pewnego czasu odgrywa rolę Jana Chrzciciela prostującego drogi przed przyjściem nowego kursu. Pismo to od dłuższego czasu urabiało opinię w dwu kierunkach. Domagało się dymisyi Aerenthala dla otwarcia na oścież wrót wiatrowi wschodniemu i systematycznie szczuło na Turcyę i Włochy. Jeśliby wierzyć jego informacyom mieszkańcy Albanii, Sandżaku i Macedonii nie pałają inną chęcią jak tylko ujrzenia wśród gór czarno-żółtych chorągwi, poborcy podatkowego w czapce z bączkiem i chmary peszteńskich i wiedeńskich sp kulantów, którzy tak świetnie prosperują w sąsiedniej Bośnii. Z widoczną lubością opisuje to pismo wszystkie okrucieństwa włoskie w Afryce, łamanie przez Italię prawa międzynarodowego z oczywistym celem robienia nastroju, a równocześnie snuje fantastyczne opowieści o zbrojeniach Włochów na tyrolskiej granicy, tak jakby sromotnie bita przez garść Arabów armia włoska zamierzała dziś, jutro napaść na blizko dwa razy silniejszą Austryę. Zbliżenie do Rosyi i energiczna polityka bałkańska musi mieć w polityce wewnętrznej swój ekwiwalent. Z słowiańskich ludów habsburskich jedni tylko Polacy są w całości nieprzejednanymi antagonistami państwa rosyjskiego, reszta w większej lub mniejszej mierze widzi w niem ostoję przeciw zalewowi niemieckiemu i madziarskiemu. O rozszerzaniu się na Bałkanie może Austrya myśleć tylko

po jakiej takiej naprawie stosunków ze Słowiananami, ponieważ dla ludności Sandżaku i Macedonii panowanie niemiecko-węgierskie atrakcyi stanowić nie może. Stąd nadzieje tryjalistyczne południowych Słowian, nadzieje które *beati possedentes* — Madziarzy starają się wybić z głów przy pomocy szabli i więzienia. Że rząd centralny z Węgrami nie pójdzie, dowód: upadek nie nawidzonego samodzierżcy Bośni Buriana i powołanie na jego miejsce Bilińskiego, który ma uspokajać wzburzone fale wypróbowaną swą dyplomacyą. Zasadniczych reform prezes koła tam nie przeprowadzi. Z natury bogate, ale systematycznie niszczone kroje anektowane, pod rządem naddunajskim odrodzić się nie mogą. Dopilnują już tego spekulanci, robiący złote interesy nie tylko na koncesyach i dostawach, ale na głównej produkcyi rządów austryackich w Bośni, produkcyi nie znanej gdzieindziej, produkcyi pustyni kresowej rozszerzanej systematycznie przez tępienie lasów; dopilnują tego spekulanci, robiący lichwiarskie interesy na uwłaszczeniu kmieci i agraryusze węgierscy; rozwój gospodarczy Bośni zmieniłby ten kraj rolniczy w kraj eksportujący zboże i obniżyłby ceny chleba i mięsa, horoskop przed którym wzdrygnie się każdy agraryusz.

Bośnia nie wiele zyska na naszym ministrze, my ponieśliśmy w byłym prezesie ciężką stratę. Biliński jako minister finansów był szkodnikiem dla kraju, działalność swą poświęcił rządowi tylko, był wrogiem kanałów i upadł słusznie. Ale Biliński wyniesiony na fotel prezesowski stał się równie wiernym sługą kraju, jak był poprzednio rządu, niepospolite swoje zdolności polityczne i niezmordowaną energię poświęcił podniesieniu powagi klubu, którego był głową i dokonał tego dzieła w najtrudniejszych warunkach. Nie należy zapominać, że poprzednie koło było pośmiewiskiem izby i jednem ogniskiem skandalu, począwszy od drobnych „zdobyczy narodowych“ unarodowionych chłopków typu Paducha i Więcka, a kończąc na wielkich trofeach ministeryalnych i — lodowych.

Dziś koło pozostało partyą wierną każdorazowemu rządowi „die Polen sind für jede Regierung zu haben“ ale nie za cenę o s o b i s t y c h korzyści; Koło nie odpowiada zawsze godności narodowej, ale ręce jego członków są czyste. Nie przypominalibyśmy przykrej przeszłości, gdyby nie prosił o to organ byłego koła, a dzisiejszej opozycyi „Słowo polskie“, które twierdzi że w Galicyi robi się tylko historyę osobistych interesów; otóż tak było istotnie, ale nie za dni Bilińskiego.

Główną działalność poświęcił były prezes sprawie kanałowej. Ożywcza, błękitna wstęga wodna mająca roznieść po kraju tętniące życie przemysłowe zachodu, wydobyć ma światło dzienne skarby ukryte w łonie naszej ziemi, dać tysiącom dobrobyt, a milionom ochronę przed głodem, który je pędzi za Ocean, aby ich siły i pot zmieniały się w potok złota lejący się bez przerwy w kasy trenterów, miała stanowić cenę za którą prezes polskiej reprezentacyi parlamentarnej uznał nasz naród za podbity moralnie przez zaborców. Ofiara była wielka, ale wielką i cena. Uzyskanie jej było celem wszystkich dążeń byłego prezesa, jego zasługą, że ustawa uchwalona i sankcyonowana już przez cesarza, którą poprzednik Bilińskiego uważał tylko za dobry atut do zdobycia ministeryalnego piroga, zaczęła się realizować. Ale droga do przyprowadzenia jej jeszcze trudna i daleka. W całem kole niema dziś człowieka, któryby lepiej mógł podołać zadaniu od Bilińskiego; jako były dostojnik zawiązał on serdeczne stosunki z rozmaitymi „decydującymi czynnikami“ i używał swych wpływów dla dobra sprawy kanałowej.

GRABOWIEC.

BILIŃSKI - LEO.

Wiedeń, 27. lutego.

Zgon Aerenthala pociągnął za sobą także następstwa bezpośrednio dotyczące naszego układu politycznego. Dotychczasowy prezes Koła Dr. Leon Biliński powołany został na członka rządu wspólnego, w jego miejsce wyznaczono jako kandydata na stanowisko prezesa, Dr. Juliusza Lea.

Żegnając — sądzę, na razie — p. Bilińskiego na drogę ku nowemu zakresowi władzy, nie wolno pominąć milczeniem okoliczności, wśród których nastąpiło odwołanie tego niezwykłego polityka z obrębu jego działalności dotychczasowej.

Hrabia Bechtold, następca Aerenthala, uczynił się był przed pewnym czasem obywatelem węgierskim. Dobra, jakie posiada za Litawą, stosunki pokrewieństwa i inne względy, umotywowane właśnie nominacyą na ministra spraw zagranicznych, sprawiły, że ten potomek poczciwej familii niemieckiej przedzierzgnął się na madziara. Dla ścisłości nadmienię, że z dwóch synów swych, jednego wychowuje na madziara, a z drugiego przygotowuje austryaka niemieckiego.

Istnieje ponoś niepisany przepis, że na trzech członków wspólnego rządu, jeden musi być węgrem. Hrabia Berchtold jako „węgier“, uczynił zadość przepisowi, wobec czego dotychczasowy reprezentant korony św. Szczepana w rządzie wspólnym, baron Burian, stał się zbytecznym. Zrozumiał on tę konieczność i natychmiast po nominacyi Berchtolda podał się do dymisyi.

Otworzyło się przez to miejsce dla „austryaka“ w rządzie. Miejsce to objął, „musiał“ objąć właśnie, prezes Koła p. Biliński...

Prasa polska, komentując nominacyę, podniosła tu także i moment, nazwany ucieczką, czy zbiegostwem Bilińskiego od zadań, których spełnienia oczekiwało od prezesa Koła społeczeństwo w ł a s n e. Parlamentarne ubezpieczenie noweli o budowie dróg spławnych, reforma wyborcza sejmowa, dająca się dokonać li tylko na tle porozumienia polsko-ruskiego, oto zadania, których p. Biliński się podjął i które powinien był urzeczywistnić. Z drugiej strony zaznaczono z naciskiem, że p. Biliński o nową godność wcale się sam nie ubiegał, lecz został na nią powołany niespodziewanie. Cesarz na posłuchaniu Bilińskiego

w dniu 18. lutego wyraził życzenie swe w sposób tak „ujmująco-stanowczy“, że prezesowi Koła nie pozostało nic innego, jak poddać się woli Korony.

Ale w tym właśnie momencie tkwi słabość argumentacyi, usprawiedliwiająca zarzut ucieczki. Właściwością układu konstytucyjnego jest równoważenie woli Korony, wolą interesów społeczeństwa. Pamiętać o tem należy tem bardziej, ile wola Korony, naturą rzeczy, kształtuje się za wpływem rządu i sfer panujących; dla nich na rękę może być jakaś decyzya, która wszakże sprzeczna jest z potrzebą ogółu. Pod tym kątem rozpatrywane „usposobienie dynastyczne“, jest więc niebezpieczne. Pomijając inne względy, dogmat bezwarunkowej uległości wobec nakazów monarchicznych, jest wrogi nowoczesnemu ujęciu zadań konstytucyjnych, jest przedewszystkiem pułapką zabójczą.

P. Biliński awansowany został w chwili, kiedy rozpoczynająca się sesya parlamentarna, wymagała ręki doświadczonej dla przewodnictwa w Kole, kiedy niezałatwiony problem reformy wyborczej do Sejmu, wymagał dalszych zabiegów umiejętnych. W jednym i drugim kierunku, działalność p. Bilińskiego odznaczała się wyemancypowaniem z pod wyobrażeń, zachcianek i dążeń żywiołów, panujących dotąd w kraju. P. Biliński rozumiał to doskonale, że silne stanowisko, jakie zajął w Kole i w parlamencie, opierało się na bezwzględnem zaufaniu, jakiem go obdarzali ludowcy i demokraci. Rzecz ciekawa i znamienna, że nie konserwatyści, których przedstawicielem był właściwie Biliński, lecz właśnie czynniki demokratyczne i to mimo bardzo niefortunnych oficyalnych enuncyacyj prezesa Koła, popierały go szczerze w przekonaniu, że podbój moralny, jakiemu wobec niego ulegli, wynagrodzony zostanie poważnemi zdobyczami realnemi.

P. Biliński starał się te nadzieje usprawiedliwić i przez to właśnie popadł w niełaskę tego zwłaszcza odłamu demokratycznego, który z dworków Podola sączy nieustannie tradycyę obskurantyzmu i wsteczeństwa. Dworki te umiały jeszcze zachować stosuneczki, a że nawet w rządzie mają swego niesfałszowanego reprezentanta, więc można przyjąć za pewnik, iż drogą przez Lwów i Wiedeń p. Biliński zajechał do Sarajewa.

Zebranie frakcyi demokratycznej, odbyte w tydzień po nominacyi Bilińskiego, uchwaliło przedstawić kandydaturę prezydenta miasta Krakowa, posła Dr. Juliusza Lea, na prezesa Koła.

Kandydat — profesor ekonomii społecznej na uniwersytecie Jagiellońskim — był jeszcze przed pięciu laty jednym z wybitniejszych przywódców krakowskiej partyi konserwatywnej. Pedagogiczna moc głosowania powszechnego, które w tym czasie poraz pierwszy wypowiedziało się podczas wyborów do Rady państwa, nie przeszła bez wrażenia na giętki umysł Dr. Lea. Podtrzymywanie haseł starych wobec naporu prądów nowoczesnych wydało mu się zbytkiem niepotrzebnym. Pożegnał czule posmutniałych towarzyszów broni i przeszedł do obozu, który samą swą egzystencyą dawał możności rozwojowe.

Opinia o demokracyi galicyjskiej nie jest szczególna. Nie zdobyła się ona dotąd na organizacyę powszechną, nie odszczególnia się zwłaszcza programem, odbiegającym w zasadzie od tez konserwatywnych. Stanowi wciąż jeszcze niejako kadry dla przyszłej demokratyzacyi. Ten wzgląd jedyny usprawiedliwiał, poniekąd, istnienie frakcyi i to w tym stopniu, że trzej członkowie partyi postępowej polskiej, jedynego stronnictwa o p r o g r a m i e demokratycznym, przystąpili po wyborze w r. 1911 do tejże właśnie frakcyi. Może przecież hasła świeże, wskazania czerpane z nakazów rozwojowych, a nie ze schematów zwietrzałych, odmłodzą tamtych nomentalnych demokratów i dadzą im wigor do życia potrzebny.

Łącznie z trzema postępowcami polskimi, frakcya demokratyczna w Kole liczy trzynastu członków, jest więc trzecią z rzędu grupą. Po słuszności należało się jej więc miejsce wśród stanowisk naczelnych.

Doświadczenie dotychczasowe uczyło wszakże, iż podział wpływów między stronnictwami, składającemi większość Koła, nie odbywał się wedle zasad równości. Konserwa wyposażona w eksperyencyę polityczną, umiała zawsze prześcignąć sprzymierzeńców. Zdobycie prezesostwa dla członka frakcyi demokratycznej było więc i tym razem wątpliwe.

Sprawę uratował p. Stapiński.

Przewódca ludowców, któremu można zarzucić niejeden grzech polityczny, ma jeden przymiot dotąd należycie nie uznany.

Jest reprezentantem klasy chłopskiej i prowadzi politykę chłopską. Może ją źle lub dobrze prowadzić, ale w każdem położeniu umie zachować wytyczną, która go strzeże od popadania w bezwzględną zawisłość. Interes chłopski, powtarzam — źle czy dobrze pojęty — jest dla niego busolą. Jeżeli mu się wydaje, że interes ten wymaga sojuszu wyborczego, czy politycznego z konserwą, pospieszy sojusz taki zawrzeć. Jeżeli się spostrzeże, iż „sprzymierzeńcy“ zaczynają go pomijać, już się sposobi do odporu i zaczepki. W ten sposób, nieustannie w ruchu, dziś pod wozem, jutro na wozie, zachował w kwestyach podstawowych samodzielność, która mu zapewnia swobodę operacyi.

Reforma wyborcza sejmowa jest obecnie problemem najbardziej naglącym. Utrzymać i poprzeć te wszystkie czynniki, które potrafią przyłożyć rękę do urzeczywistnienia reformy, uważa p. Stapiński za naczelny swój obowiązek. W tych warunkach prezes sejmowej komisyi reformy wyborczej, Dr. Juliusz Leo, winien stanąć na czele Koła polskiego.

Taka konstrukcya ideowa kazała p. Stapińskiemu przyznać frakcyi demokratycznej prawo wyznaczenia kandydata, z tem zastrzeżeniem, iż kandydatem musi być Dr. Leo.

I tak się stało.

Nie bez pozorów słuszności podniosą się zapewne głosy wskazujące na to, że przyszły prezes Koła ze względu na swe pochodzenie konserwatywne, nie może chyba uchodzić za prawdziwego reprezentanta demokratyzmu.

Wiadomo natomiast, że p. Leo chlubi się szczerą nienawiścią żywiołów zachowawczych, ku sobie. Wywyższenie jego obecne, uczucie to tylko wzmocni i pogłębi. Na skrystalizowaniu różnic, zyska zaś niezawodnie rozwój idei demokratycznej w kraju.

Dr. Leo będzie pierwszym, naprawdę demokratycznym, od względów konserwatywnych niezależnym prezesem Koła polskiego.

T. M.

PO ZAMKNIĘCIU SEJMU.

Z uczuciem ulgi żegnały sfery polityczne naszego kraju ubiegłą sesyę sejmową. Skoro dla wszystkich, którzy śledzili przebieg „obrad“ Sejmu i na podstawie skąpych, często sprzecznych ze sobą wiadomości o tajnych targach w sprawie reformy wyborczej usiłowali uchwycić tok i sens t. zw. ugodowych pertraktacyj polsko-ukraińskich, stało się widocznem, że o załatwieniu reformy w tej sesyi niema mowy, oczekiwano powszechnie już tylko jak najrychlejszego końca przykrej komedyi, t. j. zamknięcia sesyi. I społeczeństwo odetchnęło swobodniej, kiedy nareszcie skończył się znowu jeden okres „pracy“ jedynego parlamentu polskiego.

Przygnębiające wrażenie robi ten wyrok potępienia, wyrażający się w takiem stanowisku ogółu ludności. W żadnej warstwie społecznej nie ujawniło się ani na chwilę żywsze zainteresowanie sprawami, będącemi na porządku dziennym obrad sesyi. Nie interesowano się najważniejszą ze spraw, jakie należą do zakresu działalności Sejmu, t. j. budżetem; nową pożyczką, przynoszącą ludności świeże zobowiązania i ciężary, nie zwrócono baczniejszej uwagi na wykrętny sposób traktowania żądań nauczycielstwa ludowego; — wszystko to opinia publiczna kraju przyjmowała tak, jakgdyby nie chodziło o rzeczy poważne, o kwestye pierwszorzędnego znaczenia. I ta powszechna obojętność i apatya wobec tego, jak Sejm krajowy załatwia sprawy najistotniejsze i najbardziej żywotne dla ludności, jest sama przez się wymownem oskarżeniem kierowników polityki krajowej, jest potępieniem całej gospodarki sejmowej. Kastowa wyłączność w uwzględnianiu interesów ekonomicznych, odgrodzenie się od wszystkich aktualnych zagadnień politycznych, któremi zajmowało się i żyło społeczeństwo, bezprzykładne lekceważenie kulturalnych potrzeb szerokich warstw ludowych, — wszystko to uczyniło nasz Sejm zupełnie obcym dla ludności. Tego rodzaju polityka, uprawiana przez większość sejmową w przeciągu dziesiątek lat, sprawiła, że społeczeństwo przestało uważać Sejm za swoją reprezentacyę, za instytucyę żywą, godną uwagi i zainteresowania. Stopniowo zanikał i wreszcie znikł zupełnie wszelki żywszy kontakt między ludnością kraju a jego najwyższą autonomiczną instytucyą ustawodawczą. Nikt nie oczekiwał od Sejmu działalności, zgodnej z interesami ogółu, nikt nie spodziewał się pracy, korzystnej dla rozwoju kraju.

A równocześnie nie było warunków do energicznego protestu, do walki ze strony mas ludności. Nie mogła tych warunków dać całkowita ruina, do jakiej długoletnia gospodarka sejmowa doprowadziła kraj cały, nie mogły ich stworzyć: brak przemysłu, brak dojrzałości politycznej, naszego mieszczaństwa, ciemnota i analfabetyzm mas, tak troskliwie pielęgnowane przez większość sejmową, nędza klasy włościańskiej i t. d. I dlatego sfery, decydujące o polityce krajowej, mogły tak długo spokojnie rządzić „pod bezpiecznym dachem“ sejmowym.

Zrozumiała rzecz, że ta apatya ogółu ludności odbiła się bardzo ujemnie na akcyi o zdobycie reformy prawa wyborczego do Sejmu, którą konsekwentnie i wytrwale usiłowało prowadzić tylko jedno stronnictwo w kraju, stronnictwo socyalno-demokratyczne. Wszelkie próby, podejmowane przez to stronnictwo, wszelkie wysiłki, ażeby szersze warstwy ludności poruszyć i porwać do energicznej kampanii o reformę wyborczą, zawodziły. Cała akcya ograniczała się do zgromadzeń i demonstrancyj, w których brały udział tylko masy, zgrupowane w obozie socyalno-demokratycznym. Nie świadczy to bynajmniej o tem, jakoby poza tym obozem nie było zwolenników reformy. Potrzebę reformy wyborczej, jako środka, prowadzącego do odrodzenia kraju, o d c z u w a n o powszechnie. Ale było to tylko życzenie czegoś, co zdaniem wszystkich przyjść powinno, jakieś bierne oczekiwanie zbawienia; nie było energii i zdolności do aktywnego wyrażenia żądań, do czynu, do walki. I dlatego obóz socyalistyczny pozostał w swej akcyi odosobniony, nie znalazł czynnego poparcia ze strony innych partyj demokratycznych.

To b i e r n e o c z e k i w a n i e reformy wyraziło się w charakterystyczny sposób w chwili, kiedy w Sejmie wybuchła obstrukcya ukraińska. Posłowie ukraińscy rozpoczęli obstrukcyę pod hasłem demokratycznej reformy wyborczej. I oczy wszystkich oczekujących zwróciły się ku wypadkom, związanym z obstrukcyą; spodziewano się, że — kto wie — może z nich wyłoni się gotowa, postępowa, demokratyczna reforma. Moment był rzeczywiście bardzo szczęśliwy. Ale do należytego wyzyskania go trzeba było w Sejmie zgodnego współdziałania wszystkich stronnictw lewicy, zorganizowania planowej akcyi opozycyi, przeciw konserwatywnej większości, a nadewszystko trzeba było wczoraj chęci i zdecydowania się na otwartą, stanowczą walkę. A tego wszystkiego nie było. Nie było też u posłów ukraińskich odpowiedniego wyrobienia politycznego, nie było konsekwentnego, planowego działania. W rezultacie Sejm stał się areną kompromitującego widowiska, w którem zjednoczone stronnictwa polskie broniły swej ustawodawczej „powagi“ w ten sposób, że przy ogłuszającym huku muzyki obstrukcyjnej, sama nie wiedząc za czem głosują, na sprawną komendę konserwatystów „uchwalały“ pozycye budżetu, wnioski i rezolucye.

Nic dziwnego, że w takich warunkach całą kwestyę reformy wyborczej sprowadzono wkrótce do walki wyłącznie narodowościowej, że zapomniano z jednej i drugiej strony o najkonieczniejszych demokratycznych zasadach nowego prawa wyborczego. I nic dziwnego, że w warunkach tych mógł powstać osławiony projekt prof. Starzyńskiego, jako projekt k o m p r o m i s o w y wszystkich stronnictw polskich, a nawet mógł stać się podstawą rokowań polsko-ukraińskich. Skoro obu paktującym stronom chodziło przedewszystkiem o procentowe ustalenie liczby polskich i ukraińskich mandatów i o ich narodowe zabezpieczenie, to łatwo można zrozumieć, że wśród ostrych sporów o tę kwestyę nie zwracano uwagi na takie „drobiazgi“, jak pluralność, petryfikacya i t. p.

Wśród tej nacyonalistycznej kampanii, za którą zręcznie schronili się konserwatyści z obroną swych dotychczasowych przywilejów, minęła

ostatnia sesya sejmowa. Przyniosła ona w rezultacie: zarządzenie „studyów“, celem przygotowania materyału do załatwienia sprawy narodowego zabezpieczenia mandatów i... reorganizacyę komisyi dla reformy wyborczej. Oczywiście, że takim rezultatem rozczarowali się wszyscy ci, którzy oczekiwali reformy.

Jedyny głos protestu, poparty memoryałem, zawierającym konkretny, praktyczny projekt (między innemi, zamiast projektowanej przez Starzyńskiego dziesięciomandatowej kuryi powszechnej, zaprowadzenia czteroprzymiotnikowego prawa głosowania w kuryi miejskiej z równoczesnem powiększeniem jej o dziesięć mandatów), podniósł się znowu z obozu socyalistycznego. Czy głos ten zaważy na szali, to zależeć będzie od zachowania się innych stronnictw demokratycznych w czasie najbliższej sesyi sejmowej, która ma obradować w jesieni. Jeżeli te stronnictwa i szersze warstwy ludności wyjdą ze stanu biernego oczekiwania i wezmą czynny udział w walce, wówczas można będzie z „prac reformatorskich“, podjętych przez Sejm, wyratować przynajmniej zadatek prawdziwej, demokratycznej reformy.

J. H. ŻARSKI.

SPRAWA CHEŁMSKA.

ŻAŁOBA NARODOWA.

Losy Chełmszczyzny już przesądzone. Więc rozełkały się płaczki dziennikarskie i poszło po Królestwie hasło: „Żałoba narodowa“. I ta sprawa żałoby, stając się jedynym niemal ośrodkiem dyskusyi, zabiegów, rozważań i polemik, przesłoniła na czas pewien cały widnokręg społeczny. Pomyślałbyś, że karnawał bez tańców wstrząśnie tronem władyki Eulogiusza, unieszkodliwi po wsze czasy gadziny reakcyjne, zaś jeden zbytyczny walc lub mazurek pogrzebie sprawę polską, a wzmoże żywioły nacyonalistyczne rosyjskie. Pomyślałbyś, że zagadnienie: „bale czy rauty“ — to dla Polski hamletowskie „być albo nie być“, pomyślałbyś... gdyby karnawał — napoły żałobny, napoły wesoły — nie dobiegł kresu, a sprawa chełmska nie pozostała w tem samem stadyum, co i przed rozstrzygnięciem kwestyi żałoby.

Nie chcę tem podkreślaniem niezależności sprawy polskiej od takiego lub innego spędzenia karnawału wskazywać na błahość hasła żałoby narodowej. Wraz z innymi pojmuję bowiem całą niestosowność zabaw i uciech w tak smutnej chwili, jak w każdym innym tak i we mnie odrazę budzi *sclavus saltans*.

Ale pragnę podkreślić, że żałoba owa może być li tylko platoniczną manifestacyą i niczem ponadto, a zatym może i powinna towarzyszyć czynowi, lecz przenigdy zastąpić czyn, zogniskować całą energię społeczeństwa, stać się jedynym odruchem, jedynym sposobem reagowania na sprawę chełmską.

Gdy zaś widzę, że ogół polski, wbrew zdrowej logice, poza ową manifestacyę wyjść nie potrafi, nie waham się stwierdzić: lepiej już byłoby, gdyby Polak w bachicznem urojeniu popełnił nietakt i wywijał najraźniejsze hołubce, lecz działał, niżby „ta-

TADEUSZ MICIŃSKI.

ZNISZCZENIE MESSYNY.

(C. d.)

Zawołałem Sylwii i rzekłem, aby natychmiast z księdzem Łąckim i dziećmi uciekała w pole, gdyż będzie trzęsienie ziemi.

Pokiwała smętnie głową i rzekła, że obłąkuje mię to samo, co jej ojca.

Błagałem, przekonywałem — odrzekła, iż dla naszych przywidzeń nie może narażać dzieci na pewne zapalenie płuc wobec zimnej dżdżem siekącej nocy.

Sylwia nachyliła się nad łóżeczkiem synka i zaczęła zbudzonemu opowiadać bajki. Zbudziła się i Marya. Maleńka zasłuchała się w opowieści o rycerzach normandzkich i wieszczkach, które żyły na Sycylii — bogu Neptunie i Fatamorganie, która miała swój zamek wśród chmur.

Nie było co robić — dzieci mistyków są zwykle najtrzeźwiejszymi pozytywistami — i Sylwia nie wierzyła ani trochę w proroctwa księdza Łąckiego.

Szybko zbiegłem do małego domku Konrada. Ledwo otwarłem jednak drzwi — stanąłem jak wryty; w pokoju laboratoryjnym nie było nikogo, ale seizmograf Konrada kreślił straszliwe linie, o których nie mogło być wątpliwości, że znamionują trzęsienie ziemi.

Godzina wpół do piątej — zaś ktoś zakreślił na papierze słowo terre... i zapewne miał dokończyć moto, przyczem ostatnim wysiłkiem zrobił cyfrę 5 — to zapewne oznaczało chwilę wybuchu potwornego nieszczęścia. Na stole leżał otwarty list Begleniczy, w którym oznajmiała Konradowi, że jutro go opuści... Co musiał przeżywać on — mając list, który był dlań kataklizmem — i jednocześnie patrząc w te straszne hieroglify, które mu kreślił seizmograf?

Może demonizm walczył w nim? — i Konrad nie chciał ocalić miasta, aby pogrzebać wszystko, co ukochał w jego ruinach?!

Porwałem tubę telefonu i zbudziłem syndyka Messyny, przedstawiając, iż mówię ze stacyi mete-

ktownie“ spowity w kir żałoby, siedział z założonemi rękoma. Z dwojga złego pisałbym się stanowczo na to pierwsze.

Przytym, o ile powodem do żałoby ma być li tylko wyłączenie Chełmszczyzny — utrzymuję, że gra nie warta świeczki, a *błahy* powód, *poważnej* demonstracyi, utrzymuję, iż społeczeństwo polskie, przenosząc w ślad za prawicą, punkt ciężkości w sprawie chełmskiej na wyłączenie, zdradza tem samem karygodną powierzchowność, dziwną niezdolność odróżnienia formy od treści, zewnętrznej powłoki od jądra kwestyi.

Gdyż fatalne „być albo nie być“ sprawy chełmskiej leży zgoła na innej płaszczyźnie, niż wyłączenie, gdyż wyłączenie owo nie jest bynajmniej rdzeniem kwestyi.

W istocie, kwestya utworzenia nowej gubernji chełmskiej to tylko kwestya przeniesienia pewnej dzielnicy z jenerał-gubernatorstwa warszawskiego do kijowskiego. Dopóki zaś jenerał-gubernatorem w Warszawie jest nie polski namiestnik autonomicznego Królestwa, lecz taki sam generał rosyjski, jak i w Kijowie, dopóki warszawska Izba sądowa składa się z takich samych „czynowników“ rosyjskich, jak i kijowska, dopóki kuratorem okręgu naukowego w Warszawie jest taki sam rusyfikator, jak i w Kijowie — dopóty wolno mi uważać kwestyę wyłączenia za drugorzędną. Ani jenerał-gubernator kijowski nie będzie nakładał sroższych kar administracyjnych, niż obecnie Skałłon, ani Izba sądowa kijowska nie będzie wydawała okrutniejszych wyroków w sprawach politycznych, niż warszawska, ani wogóle przyszła biurokracya chełmska nie będzie mogła wymyśleć cięższego systemu ucisku, niż obecna — lubelska.

Cóż więc oznacza projekt wyłączenia Chełmszczyzny, jaką rolę odgrywa on w oczach nacyonalistów rosyjskich, którzy przeprowadzają go *per fas et nefas*? Dla nich jest on poprostu manifestacyą swej siły, wyładowaniem energii, którą nie zdolni są zużytkować na jakąbądź działalność twórczą, parawanem dla lenistwa, parodyą czynu i udaniem troskliwości o dobro włościaństwa „prawosławnego“.

Oczywiście Polacy mają wszelką zasadę do przeciwdziałania tym zakusom, obowiązkiem ich jest czynić co tylko leży w ich mocy, by nie dopuścić do owej zwycięskiej manifestacyi. Gdy więc posłowie Polscy w Dumie w nieskończenie długich przemówieniach dowodzą, że białe nie jest czarnem, a dwa razy dwa stanowi cztery, kiedy polemizują z humorystycznymi wywodami Eulogiusza i jego kliki — jest to najzupełniej słuszne.

Ale kiedy ogół polski, wsłuchany w te jałowe polemiki i spory dumskie, przeocza fakt, że obowiązkiem jego jest uczynić coś więcej, niż spierać się z Markowem o to co działo się w epoce, gdy króla Popiela myszy zjadły, że nie od tych sporów zależy przyszłość sprawy polskiej na kresach chełmskich — wówczas należy wystąpić z całą mocą przeciw podobnej krótkowzroczności i skonstatować elementarną prawdę, której społeczeństwo w żaden sposób dojrzeć nie może.

Chełmszczyzna, choćby najściślej spojona pod względem administracyjnym z Królestwem, będzie z punktu widzenia polskości balastem, o ile ludność jej zostanie zrusyfikowana i odwrotnie, Chełmszczyzna, choćby nawet należała do jenerał-gubernatorstwa irkuckiego lub nadamurskiego, będzie polską, o ile zamieszkująca ją ludność będzie polska.

Oto aksyomat, który powinno wziąć pod uwagę społeczeństwo polskie przy ocenie sprawy chełmskiej. Musi ono przeniknąć się świadomością, że rdzeń kwestyi chełmskiej z punktu widzenia polskiego tkwi nie w tym lub innym podziale administracyjnym, lecz w polonizacyi lub rusyfikacyi ludności tamtejszej.

I dopiero gdy ta prawda stanie się kamieniem węgielnym świadomości polskiej, dopiero wówczas działalność nasza na właściwe skieruje się tory,

---

orologicznej prywatnej kapitana Orolskiego, prosiłem, aby zarządził strzelanie z armat w fortecy na alarm i kazał mieszkańcom uciekać. Prezydent odparł, że już od dwóch lat budzą go co tydzień ludzie, mający podobne przywidzenia. Zaproponował mi grzecznie, żebym udał się rano w opiece mej rodziny do zakładu leczenia wodą. Daremno głupcowi zwróciłem uwagę, że w r. 1783 połowa Messyny była zburzona, zaś dwa lata temu zniszczone zostało Reggio, Africo, Brancaleone, Gioia Tauro i wiele miasteczek na stokach Aspromonte w Kalabryi.

Usłyszałem mocne ziewnięcie i życzenie dobrej nocy.

Zatelefonowałem do arcybiskupa, prosząc, aby kazał uderzyć we wszystkie dzwony kościelne. Monsignor d'Arrigo kazał mi ukląc na kolana i powierzyć swe przeczucia boskiej Opatrzności.

Zatelefonowałem do kazarmy karabinierów, lecz usłyszałem jeno potężne chrapanie.

Wtedy uciekłem się do kłamstwa i zatelefonowałem do straży ogniowej, mówiąc, iż banda podpalaczy w rozmaitych punktach podkłada ogień. Zażądano mego nazwiska, nazwisk podpalaczy, zaczęto spisywać protokół — rzuciłem tubę.

Cóż było robić? jeśli ani władza świecka, ani ludzie tak zwani duchowni nie rozumieli ostrzeżeń! ale nie mogłem nikogo winić, bo wszakże i ja sam wizyonerowi Łąckiemu kazałem pić wodę z grenadiną... Trzeba ratować Begleniczę i budzić wszystkich, kogo można. Najlepiej zaś uderzyć w dzwony klasztorne, które są w wieży nad klasztorem.

Lecz w gruncie rzeczy ocalenie Messyny wydało mi się drobiazgiem wobec zniweczenia przez Begleniczę mego duchowego królestwa.

Biegnąc, patrzyłem w dalekie, świecące okno klasztoru. Dzieliła nas otchłań głęboka, trzeba ją było przebiedz w jak najkrótszym dystansie. Nie było czasu na szukanie gospodarzy i kluczy od furtek. Przeskakiwałem płoty i ogrodzenia domostw, lękając się jedynie, że mnie wezmą za złodzieja i rozpoczną pogoń. Po kratach drewnianych, na których rozpinały się winne latorośle, teraz suche i szeleszczące — narażając się na niechybne kalectwo, jeśli kraty załamią się — wchodziłem na wysoki mur ogrodu klasztornego.

Z trzaskiem złamały się kraty, ale rękami wtedy już czepiałem się murów — uchwyciłem nakoniec gałęzi wysokiej sosny, po jej pniu zesunąłem się na ziemię.

Teraz biegłem przez ogród, pełen upajających woni zeschłych liści figowych i winogradnych, wśród wiecznej zieleni mirtów, cytryn, sosen, laurów. Miłość szalona pierwotnego Adama budziła

dopiero wówczas, spłaciwszy dań bezsilnemu parlamentaryzmowi rosyjskiemu w postaci przemówień posłów polskich, społeczeństwo wyładować będzie mogło energię tam gdzie należy.

Niestety, ogół nie pojmuje tak bezwzględnej prawdy i obawiam się, że nie prędko ją zrozumie. Obawiam się, gdyż wczorajsze i dzisiejsze głosy prawdy: wczorajsze chełpliwe „nie damy się“ przysięgłych heroldów dziennikarskich, i dzisiejsze niemęzkie szlochy przysięgłych płaczek narodu, jednakowo dalekie są od istoty, rdzenia rzeczy, z tą samą jednostajnością obracają się dokoła martwego punktu, dokoła czczego frazesu o niegodziwości zoologicznego nacyonalizmu Puryszkiewicza a wzniosłości równie zoologicznego szowinizmu Dmowskich, dokoła trącących myszką szpargałów z Kongresu wiedeńskiego i spółczesnych podstaw prawa narodowościowego.

I fakt, że społeczeństwo wdziało żałobę dziś, z powodu zmiany w administracyjnym podziale podbitego przez Rosyę terytoryum, n i e z a ś p r z e d s i e d m i u l a t y, dowodzi, że nie polskość, lecz forma, lecz jedynie zwodząca ucho nazwa „Królestwa Polskiego“ posiada w oczach jego wagę.

Lecz mogą zarzucić mi, iż to ja nie odróżniam formy od treści i pod formą — mechanicznem przeniesieniem Chełmszczyzny z jenerał-gubernatorstwa warszawskiego do kijowskiego — nie dostrzegam treści — prawa i ustaw, zmierzających do zgnębienia polskości, do uniemożliwienia akcyi polonizacyjnej wśród ludności chełmskiej.

Uprzedzając zarzut ten, muszę z całą bezwzględnością skonstatować gorzką prawdę.

Pominę to, że owe prawa i ustawy wyjątkowe nie są bynajmniej związane organicznie z wyłączeniem, gdyż były i mogłyby być w przyszłości stosowane i bez oddzielania Chełmszczyzny od Królestwa. Pominę to, gdyż chodzi mi o coś stokroć ważniejszego, o coś wysoce bolesnego, coś, co z trudem przechodzi przez usta, lecz co wyznać każe obowiązek uczciwości i prawdomowności publicystycznej, obowiązek otwarcia oczu opinii publicznej, o ile nie jest ona nieuleczalnie ślepa.

I stwierdzę: antypolskie prawa wyjątkowe, które mają sparaliżować działalność polonizacyjną w ziemi chełmskiej, są li tylko usankcyonowaniem istniejącego stanu rzeczy, są pieczęcią, którą prawodawstwo przypieczętowało to co nie od dziś stworzyło życie; nie zaś wytyczną przyszłej działalności, nie zaś środkiem prawnym, który życie do swych norm nagiąć usiłuje. I wprowadzenie ich w czyn nie będzie wstrzymaniem wartkiego prądu, nie sparaliżuje energji narodowej, nie przetnie działalności polonizatorskiej, jednem słowem, n i e z m i e n i w niczem dzisiejszego *status quo*. Bo tej działalności, która jutro ma być zabroniona, niemasz dziś, gdy jest ona j e s z c z e dozwolona, nie było jej wczoraj, gdy była ona j u ż dozwolona. Bo społeczeństwo polskie c z y n e m, a ściślej b e z c z y n n o ś c i ą dowiodło, że wyrzeka się spolonizowania ludności chełmskiej i dziś, gdy s ł o w e m protestuje, kiedy nacyonaliści rosyjscy, odbierając im prawo, z którego nie korzystali, w gruncie rzeczy przyjmują i sankcyonują ich rezygnacyę, nie zaś odpierają ich domagania, jest ono albo zabójczo nieświadome i nie rozumiejące wagi własnych czynów i bezczynności, albo obłudne. Dodam: raczej nieświadome, niż obłudne.

Podobnie jak objawem nieoryentowania się w zjawiskach społecznych, w własnej działalności raczej, niż objawem obłudy, jest spóźniona o siedm lat żałoba, którą przywdziewa ono dziś.

Bo jeśli — powtarzam — żałoba owa ma dotyczyć nie obojętnej dla nas z punktu widzenia polskiego zmiany w przynależności chełmszczyzny do sądowego, naukowego i wojennego okręgu, lecz ciosu zadanego sprawie polskiej w ziemi chełmskiej, to należało przywdziać ją w 1905 r., gdy po

---

się we mnie i ogarniała mię jak orkan, w miarę gdym biegł przez tę puszczę, tyle upojeń wróżącą w wiosennych zefirach.

Klasztor. — Salon jednak był ciemny. Zawołałem Begleniczy.

Ujrzałem jej postać — zapala świecę — otwarła okno.

Wzywa mię — i zaczyna grać symfonię Czajkowskiego.

O, Boże, jak niedorzeczną wydać się może ta romansowość wobec grozy położenia — ale ten magnetyzm szaleństw zarażał już i mnie.

Przycisnąłem usta do włosów Begleniczy, wtem ona wzięła święty relikwiarz i kazała mi przysiądz, że spełnię to, czego sobie życzy.

Przysiągłem, czując, że namiętność zalewa mi oczy.

Podeszła do baldachimu, za którym stało łoże.

Rozchyliła kotarę — i świeciła mi — na łożu ujrzałem trup Konrada.

Rozebrany był i widać, że oddali się sobie raz ostatni.

Sztylet wbity miał w samo serce.

Kiedy ja, zachwiawszy się, uderzyłem głową o mur — Beglenicza z uśmiechem patrzyła we mnie. Poczem wzięła mię za rękę, pocałowała w usta same i rzekła: nie troszcz się o świat — patrz, jak cudownie spędzają czas moje zakonnice, oczekując Końca Świata.

I korzystając z mej bezwolności, wiodła mię za rękę. Przeszliśmy kurytarze.

Stanęliśmy w kościele, oświetlonym błękitem płomienia.

Lecz płomień ten nie był z lampy Wiecznej. Był to błękitny płomień z olbrzymiej srebrnej wazy palącego się ponczu.

W kościele ciepło — roznosiły się w powietrzu dziwne aromaty.

Ubrane za damy i kawalerów zakonnice i nieznani mi ludzie — mniszki w habitach i księża — tańczyli wyuzdane perwersyjne, choć pełne wytworności, stylowe tańce.

Prócz światła błękitnego z ponczu rozchodziły się jeszcze różnobarwne cienie od trzech ampli maurytańskich, rzezanych w arabeski i napisy.

Kościół był napełniony żywą roślinnością cierni splątanych, drgających.

Zdawało się, że jestem na sabacie Fata Morgany.

Wszyscy powitali Begleniczę, jak królowę. I rzeczywiście jednym ruchem ręki, strąciwszy że siebie futro swe, ukazała się naga.

Krzyżem rubinowym, który nosiła na piersi, spięła swe rozpuszczone włosy — tam w tej puszczy upojeń kusił on, jak Sezam 1001 nocy.

ukazach: tolerancyjnym i o szkolnictwie — społeczeństwo polskie, mając otwartą drogę do działalności kulturalnej, nie znalazło w sobie dość siły czy też chęci, by działalność ową podjąć, by pospieszyć na ratunek zagrożonych placówek polskich, a *eo ipso* placówek swych wyrzekło się, choć dziś tak gorzko blizką utratę ich opłakuje.

Oczywiście to milczące zrzeczenie się nie usprawiedliwia ani nie tłómaczy bezprawia, którego dokonywa obecnie większość trzeciej Dumy.

Jeśli jednak chodzi nie o ocenę etyczną czynów czarnosecińców, nacyonalistów i październikowców, lecz o realne życie, o praktyczne następstwa uchwalanego obecnie projektu chełmskiego, z goryczą wyznać muszę, że następstwa te będą niemal żadne, gdyż społeczeństwo polskie uprzedziło życzenia nacyonalistów rosyjskich i o wiele wcześniej uczyniło to, czego nacyonaliści owi dobijają się obecnie, co zamierzają przeprowadzić dopiero w blizkiej przyszłości.

Ciężkiem jest oskarżenie rzucone przeze mnie na społeczeństwo polskie, gdyby było ono gołosłowne ściągnęłoby na autora słuszny zarzut karygodnej lekkomyślności w sądach.

Ale druga część artykułu niniejszego da garść liczb i faktów, przelewających ponure światło na tę bolesną sprawę. W części tej wyjaśnię też, gdzie tkwi korzeń zła, czemu przypisać samobójcze postępowanie społeczeństwa polskiego. Analiza przyczyn tych doprowadzi nas do ogólnego zła, które od wieków trawi Polskę, do wykrycia żądła, które od wieków zatruwa życie nasze. Droga analizy naszej, jak przysłowiowe wszystkie drogi, poprowadzi nas do... Rzymu.

OSTAP HRYCAJ.

MICHAJŁO JACKIW.

(Zakończenie).

Analogicznych miejsc w utworach Jackowa dużo — omal, że każda nowela obramowana jest tym wizyonalnym elementem, który jednak nas całkiem nie razi, przeciwnie prawie zawsze dodaje niewypowiedzianego uroku tym krótkim szkicom. O ile bowiem autor okiem wizyonera patrzy na tło — nabiera ono rzeczywiście poetyckiego powabu — jak owo miejsce w noweli „Pochyła wieża“.

„...Horacy wstał, oparł się o mur i spoglądał ponad ogród. Gołębie rzucały srebrne nici po niebie, to zlatywały w dół. Aniołki z alabastru rozchylały do nich kraglutkie rączęta, jedne chwytały je, inne mierzyły z łuków. Kiedy gołębie zatrzepotały skrzydełkami, zdawało się, że ta biała, rozigrana dziatwa klaszcze z uciechy w dłonie“.

Cała przyroda nabiera innego wyglądu, gdy

Niedoskonałemi są wszystkie rzeźby, przedstawiające Ledę, Wenus, Arjadnę, Medeę, bo wyobrażają tylko martwe linie ciał.

Wyobraźmy klasyczne piękno, otoczone astralnym nimbem gwiezdnej duchowości, na którą padł mrok szału!

Wśród tłumu zauważyłem postać znanego mi z cynicznych łotrostw instruktora klasztornego, kanonika Gambiego. Był to człowiek jeszcze młody, o twarzy mocno stajennej.

Ten porwał Begleniczę wpół.

W pierwszej chwili mego impetu podbiegłem do Gambiego — i wymierzyłem tak silny policzek, że padł na ziemię.

Z oczyma przymkniętemi, czując ten skurcz w mych szczękach, który pojawiał się mi wtedy, gdy zabijałem.

Rozgłośny bachancki śmiech był mi odpowiedzią: dla nich było to umówionym sygnałem do rozpoczęcia orgii. Dobyli noży i szpad, zaczęli z furyą walczyć. Nawet zakonnice wmięszały się do zaciekłego boju.

Religia światła z nich opadła jak koszule, które ściągnęły ze siebie zakonnice.

Wyciemniły ze siebie religię czarów, wpiekłowzięć, czeluści Inferna zwiedzanych przy gromnicach żądzy — niby kapłanki Sziwy zaśpiewały pieśń do lingamu.

Były to, jak wiadomo, wyłącznie kobiety ze sfer bardzo zamożnych. Klasztory zniesiono oficyalnie we Włoszech, lecz stare zakonnice „na wymarciu“ przybierają wychowanice, które suto dotują klasztor i opłacają policyę.

Tymczasem Gambi, obrzucając mię wściekłym wzrokiem, powstawszy, rzekł:

— Dlaczegoż to przeszkodziłeś nam użyć ostatnich chwil życia, wiedz, mości moralisto, że zaszłem do obserwatoryum, gdzie sprawdziłem na seismografie trzęsienie ziemi.

Nuże precz stąd, korzystać pragniemy z rozpętania nerwów całego klasztoru. Miasto zmieniło się w wielki lupanar.

I porwał się ku Begleniczy, która w szale bachanckim zaczęła go dusić za gardło.

Wziąłem amplę i nie mówiąc ani słowa wyszedłem na kurytarz.

Przyświecałem, śpiesząc po schodach krętych wieży, zajęty już tylko myślą, by uderzyć w dzwony i zbudzić śpiące miasto. W tem usłyszałem za sobą przyczajony śmiech — nim mogłem się zoryentować, rozległ się rumor ogłuszający.

Krata zapadła, zamykając mi wejście na wyższą kondygnacyę.

Jackiw dopatruje się w niej tylko szeregu żyjących istot, przeżywających swe własne, duchowe stany. Temu to właśnie uduchowieniu przyrody zawdzięcza Jackiw głęboko liryczny nastrój swych szkiców.

V.

Jedna z najpiękniejszych nowel Jackowa — „Błogosławieństwo“ — przedstawia nam umierającą w szpitalu biedną zarobnicę wdowę, która czując zbliżający się koniec, dziwne życzenie odczuwa w znękanej duszy. Oto co opowiada autor:

„Czuła, że się koniec zbliża, pogodziła się z losem i przeglądała myślą całe życie. Przypomniała sobie, że jak matka jej i ojciec umierali, to błogosławili ją na to życie. Czuła moc tego błogosławieństwa — gorzko biedziła, ale nie skrzywdziła nikogo. A wiecie, jak ciężko dziś nie skrzywdzić nikogo.

Owo błogosławieństwo stało się dla niej przykazaniem — chciała zostawić to dobrodziejstwo dla kogoś z żywych, spełnić swój serdeczny obowiązek, inaczej ciężko jej zejść z tego świata. I ona miała dziecko — chciała pobłogosławić je — śmierć jednak zabrała to dziecko przedwcześnie.

Do sali wchodzi młody lekarz ze siostrą miłosierdzia:

W oczach chorej stanęła dusza matki.

Cichym jękiem przywołała go do siebie, kurcze chwytały ją, stygła powoli, ale chwyciła jego rękę. On wspomniał swą matkę i ukląkł koło łóżka. Zarobnica położyła mu rękę na głowę i szeptała blademi ustami.

Krwawe słońce przyćmiło czerwoną lampkę u stóp Chrystusa, okrywając purpurą wszystko dokoła i hen — hen — daleki jesienny świat“.

Czemuż nie umarła z przekleństwem?! Jej życie było przecież szeregiem cierpień, nędzy, rozczarowań i ciężkiego znoju — dlaczegoż odczuwa jeszcze w duszy potrzebę błogosławienia kogoś — ona, która w życiu oprócz męża pewnie przyjaciela nie miała? I czemu musi to zrobić — czemu ciężko jej zejść bez tego ze świata?

Ilekroć czytam tę nowelę — zawsze widzę w niej całą duszę artysty — Jackowa. W postaci tej zarobnicy stworzył Jackiw nie tylko jedną z swych najpiękniejszych kreacyj, ale i pozwolił nam wglądnąć głęboko w serce swej sztuki. Poznaliśmy go jako pessymistę, jako namiętnego oskarżyciela zepsutej społeczności, która sama produkuje nędzę i zbrodnię i sama odpowiedzialną jest za padół łez, przez się stworzony.

Widzieliśmy jak strasznie cierpią jego żołnierze — zmarnowani poeci, artyści, upadłe kobiety, jak dusze dzieci przesiąkają powoli jadem życia — jak wespół z ludźmi męczą się zwierzęta i cierpią nawet martwe na pozór utwory („Drzewo“). Zdaje się, że jednem, jedynem żądaniem wszystkich jego bohaterów, jest pragnienie śmierci. „O tam spocząć (w grobie), tam spocząć! — mówi Łeś Marak w garnizonie. — Oddycha się lekko, cienie chłodzą czoło, zaduma owionie jak ów sen bez końca. W tym świecie-śnie szukają znużeni bohaterowie swej duszy, radzą się twórczych widzeń, co począć ze sobą? Samotność przykrywa wierzchnią słabość, a kuje potęgę milczenia, ukrywa znużenie ciała, a hartuje ducha. Słowo przeminie, księgi rozpadną się w pył, milczenie bez słów, bez liter, to bóstwo, jakie niema równego sobie... Och Boże wiecznego milczenia, spokoju, zapomnienia... Nawet zwierzęta najszczerzej garną się do ciebie... A pozatem chaos i wieczność...“

Chaos i wieczność tam, a tu chłód, niewola, przekleństwa, łzy, cienie i straszna nuda. A jednak owa biedna zarobnica błogosławi... I Nuchim mówi: „Nu, co robić... Bogu dziękować i za to“. I Klara uspokaja kochanka słowami: „Mam nie złych gospodarzy, biedować muszę, nieraz pleców nie czuję, ale cóż zrobić? Jak to mówią: będziesz biedować ze siedem lat, a potem do wszystkiego przywykniesz...“ A ksiądz Horacy („Pochyła wieża“) to

---

W tejże chwili zapadła i druga krata, zamykająca mi powrót.

Gambi śmiał się jak hyjena, dookoła niego byli wszyscy inni.

— Szlachetny księże, wołali, nie trzeba, żeby się zbudziło całe miasto! Wystarcza, że my jesteśmy przebudzeni.

Amplę postawiłem na belce i rozglądałem moje więzienie.

Kraty były grube, żelazne i nie do przełamania. Tu na wieży chroniły się dawniej mniszki przed napaścią morskich rozbójników — podwójna krata zamykała dostęp do górnych kondygnacyi.

Skorzystał Gambi z tego, że mu tajemnicę tę powierzyła Beglenicza. Teraz, jak w dawnych misteryach, sprawdziła się zasada, że niema straszniejszej rzeczy, niż wiedza w ręku szalbierza i łotra.

Miałem przed sobą całą gromadę ludzi oświetlonych amplą, lekceważących, a raczej lubujących się w oczekiwaniu śmierci. Wykonywali rodzaj murzyńskiego tańca z wściekłym bezwstydem. Zdawało mi się, że widzę głowonogów, które zeszły się w zatoce głębokiej między skałami.

Odwróciłem oczy, pełny chmurnej wzgardy.

Przedemną miasto jarzyło posępnym blaskiem, zawierucha śnieżna pokrywała niebo i mżyła w powietrzu iskrami śniegu czy elektryczności.

Zimny wicher leciał od morza z siłą gwałtowną.

Z okna wieży rozwierała się przepaść w dół — było to jedyne wyjście.

Z trudem wstrzymałem się od runięcia głową w przepaść.

Wzgarda zupełna dla siebie po tak wzniosłych przeprawach miłości i wiedzy, które łączyły mię z Konradem, nadomiar niemoc uczynienia czegokolwiek dla ludzkości — widok życia bezowocnie wstrzymanego tuż przed jego najwyższą przełęczą doprowadzić mogły do obłędu.

Ale zazwyczaj szybko umiałem się uspokajać.

Wprawdzie krat nie mogę przełamać, ale mogę łamać deski od podłogi.

Zacząłem to czynić.

Szło mi z największą trudnością, gdyż deski były dębowe.

Słyszałem wśród zgiełku orgii rozmowę — Gambi namawiał Beglenicę, by zbiegli z całym klasztorem na okręt i kazali podnieść kotwicę. Przekonywał ją z dobrym skutkiem, że on Gambi zasługiwał więcej na względy kobiety, niż ja, który widziałem już w kobiecie tylko astralną mgławicę.

Wyłamałem nakoniec wyjście pod kratami na schody wyższe — wybiegłem tam. — I nie zapomnę tej chwili, choćbym żył długo, jak planeta nasza! Przepyszny widok na rząd pałaców nad-

już prawdziwy optymista. „...Dobra wola i szczere dążenia — mówi on — kryją się w każdym człowieku, a dla młodych trzeba przedewszystkiem pomyślnych warunków, aby im nie dać zmarnieć. Nie powinno się sądzić ludzkich grzechów, lepiej pomagać bliźniemu do rozwoju przymiotów. Niema człowieka tak złego, aby dla niego nie było już żadnej poprawy. W grzechach powinniśmy potępiać warunki, a w zaletach kochać jednostkę".

To już nie tylko cicha rezygnacya, ale wprost wiara. Horacy wierzy tak samo w moc swego kapłańskiego urzędu, jak wyrobnica wierzy w moc swego błogosławieństwa. Te postacie udowadniają, że Jackiw nie chce kończyć dyssonansem, tylko szuka dróg, któremi by doszedł do więcej harmonijnych obrazów życia. Sądzę bowiem, że nadmierny pessymizm zacieśnia jego talent obserwacyjny, sprowadzając go na tory coraz bardziej zagmatwanych rozmyślań, a więc na niebezpieczne ścieżki wizyi i wizyonerstwa. Ostatni zbiorek nowel: „Czarne skrzydła" daje już pod tym względem dużo do myślenia. „Adonaj i Berbera" i „Dziewczyna na czarnym koniu" robią na mnie wrażenie wprost bezmyślnych konstrukcyi. Dziecięca dotychczas obserwacya autora przemienia się w jakieś alegorye, których się nierozumie.

Życzyć by usilnie należało, aby autor jak najprędzej porzucił niewdzięczne symbolizmy zbiorku „Czarne skrzydła" i powrócił do tej pogody ducha, w której tworzył prześliczną ewangelię księdza Horacego.

STEFAN GACKI.

„IRYDYON"

NA SCENIE LWOWSKIEJ.

Jubileusze przeżyły się jak wieńce laurowe, składane codziennie przez najbliższych na trumnach zmarłych, spowszedniały jako uroczystości familijne lub bankiety urzędowe, upodobniły się do tych świętych pańskich z kalendarza, których, jak rok długi, obchodzą codziennie solenizanci i ich przyboczni.

Wielkie znaczenie hołdów jubileuszowych zachowało się jeszcze w uroczystościach, urządzanych na cześć pewnej idei, związanej często z jakiemś imieniem, usymbolizowanej w niem, a będącej jeszcze hasłem bojowem, pobudką, wezwaniem do pracy, do wysiłków, do zwycięstw.

Tak wolnomyślna Europa czci pamięć Giordana Bruno. Francya odbywa co rok pielgrzymkę pod pomnik Marcéle'a Doleta, Polska ma swój dzień 3-go Maja.

Są prócz tego jednostki bardziej związane w swej twórczości z przyszłością swego narodu, niż z własną współczesnością, jednostki, które nie zdołały wyżyć się w swej epoce, przejść w jej krew i dla nich drogę do zagrobowych zwycięstw znaczyć i przedłużać będą zakazy i opór mocnych, wielmożnych i wielebnych, aż i ten wał runie, aż i te dusze dorosną zwolna do przyjęcia spóźnionego objawienia, które w tem ostatniem zwycięstwie straci żywą moc i jak do ostatecznego grobu wejdzie do chramu przeszłości narodu.

Takim duchem był Słowacki i najpiękniejszym tryumfem jego roku jubileuszowego było to, że nie wpuszczono go jeszcze do miejsca ostatecznego spoczynku i kazano mu błądzić wśród żywych, do których należy.

Inaczej z Krasińskim.

---

morskich — la Palazzata. Fontanna Neptuna biła brylantami, gdyż księżyc świecił, wyszedłszy z za obłoków. Zagasł. Mrok. Mijały chwile w natężonej pracy. W tem spojrzałem na zegarek i uczułem, że mi serce bić ustało. Zbliżała się godzina piąta. Więc już nic nie zbawi miasta! Głos jakiś okropny wydobył się z mej piersi... głos nieznany mi... głos proroka jęczącego. Łomot morza: wzniesione w górę, uderzyło o dno skaliste ciężarem nieobliczalnej potęgi.

Morze jak potworna misa z gutaperki, napełniona wodą i uderzona pięścią dyabła ode dna — wytrysło w górę mirjadą kaskad. Utworzyła się czarna Charybda.

Piekielne Niagary fal, deszczu — w którym krople wielkie były jak pancerniki.

Wściekłe ognie błyskawic zapalały się naraz w kilkunastu miejscach, buchając wprost z ziemi lub morza. W powietrzu uczynił się orkan wichrzący falami, niósł okręty w powietrzu lub na szczycie 40 metrowych bałwanów. Fioletowe błyskawice łyskały, jak ślepie dyabła i gasły pogrążając wszystko w ciemności.

Nieszczęsne miasto zatrzęsło się od huku fal, które je zalewały. W mroku nie było widać niczego. Nagle uczułem, jak rozdzierają się mury klasztoru. W tejże chwili łuna stumilowych wężów łyskawicowych rozświetliła widok okropniejszy, niż Sodoma i Gomora w owej nocy, kiedy spadał deszcz gorejących kamieni z wulkanów Libanu.

Runęły mury, łączące wieżę z klasztorem. Byłem zamknięty, jak w gołębniku, sto stóp nad ziemią. Wieża chwiała się, przyjmując pochylenia wieży Pizańskiej.

Dzwony same zaczęły głucho dudnić.

Zakonnice ukazały się w oknach — i zawisły na nich — podłogi zapadły z hukiem ogłuszającym, wyrzucając chmurę dymów.

Czarna jama zionęła na miejscu cel i kurytarzów. Lecz chór kościelny ocalał — i te zakonnice, które nie należały do orgii, zanuciły pieśń o przyjściu Mesyasza.

Wtedy zrozumiałem, jak straszny oblig wziął na siebie kościół, obiecując Królestwo Boże na ziemi.

Morze ryczało muzyką Wagnera, graną przez Tytanów, gdzie trąbami był krater Etny, bębnem, huk walącego się miasta, basem — jęk rozrywanej w wąwozy i przepaście ziemi, skrzypcami włosy piorunów. (C. d. n.)

Naród nie wyprze się wdzięczności za tę cudną kartę z przeszłości, podznaczoną datami najchlubniejszej naszej epoki i nazwiskiem wielkiego poety-szlachcica, nie ominie tego czystego zdroju, gdy będzie chciał poić ducha wzniosłem natchnieniem, ale gdy będzie szukał pochodni, co mu jego przyszłości ma rozświecić drogę, już się od tych blasków żar jego duszy w tę płonącą pochodnię nie rozpali.

To musimy sobie jasno i wyraźnie powiedzieć, gdy wobec suggestyi chwili, zbliżamy się do wielkiego poety, jak do narodowego ołtarza. Niegodnym byłoby wielkiego narodu, by wypierał się swej przeszłości i niegodnym wielkiego poety, by jego aureolą przysłaniać inne, wschodzące, albo już w pełni na naszym niebie błyszczące słońca, pod których znakiem żyjemy.

Jeśli rok, w który niedawno wkroczyliśmy, ma być poświęcony pamięci twórcy „Irydiona“, to obróćmy go na głębokie poznanie tej chwalebnej karty naszej historyi, na mierzenie drogi, którą odbiegliśmy od niej, ale

„Z żywymi naprzód trzeba iść
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę“.

Teatr lwowski, chcąc uczcić dzień jubileuszu, wystawił „Irydiona“ i przyznać to z góry należy, dołożył wszelkich starań, by okazać swój pietyzm dla dzieła wielkiego poety. A że ilustracye muzyczne przedłużyły jeszcze i tak już niemiłosiernie długie widowisko, że skróty, szczególnie w roli Massynisy poczynione, zaciemniły jeszcze bardziej tę ciemną postać, a dzieło całe pomniejszyły, że w wykonaniu niektórych ról możnaby podkreślić rozmaite usterki, że tu i owdzie efekt sceniczny (w scenach zbiorowych n. p.) zawodził, — to jednak ogólny charakter eksperymentu był poważny.

Zastanowić by się jedynie należało nad zasadniczem pytaniem, czy tego rodzaju ekshumacye przynoszą artystyczny pożytek scenie i spełniają jakiekolwiek kulturalne, czy estetyczne zadanie?

Goethe śmiał się ze sztuk pisanych dla „teatru przyszłości“ i autorów ich przyrównywał do żydów, tęskniących do mającego jeszcze przyjść Mesyasza. Przypuszczam jednak, że jakaś bogata, w najnowsze urządzenia zaopatrzona scena mogłaby się pokusić o przyjęcie na siebie roli tego Mesyasza i byłaby w stanie z powodzeniem wystawić te utwory, dla których współczesna im scena była za ciasną i za ubogą.

Inaczej rzecz się ma z utworami, które pisane były bez wszelkiej myśli o scenie, w bezwzględnym wyłamaniu się z pod mocnych praw, siłą konieczności rządzących strukturą utworów. przeznaczonych dla teatru. W tym wypadku eksperyment jest o wiele trudniejszy i wymaga większej rozwagi.

Miałem sposobność widzieć bardzo wiele podobnych artystycznych ekshumacyi, ale wszystkie one bez wyjątku przekonały mnię, że raczej krzywdę niż dobro czyni się w ten sposób utworom, które gwałtem chce się nagiąć do wymagań sceny i chwili, do uzdolnień artystów i wyrobienia publiczności.

Przez szereg lat patrzyłem na paryski teatr *L'oeuvre*, w którym przed wybraną publicznością wystawiano wyrwane z zapomnienia stare renesansowe lub nowsze, ale nieznane, włoskie lub francuskie sztuki i pomimo niezwykłej wprost staranności w wystawie, pomimo erudycyi i artystycznego taktu kierownika imprezy, p. Lugny-Poé, który w każdej sztuce starał się zachować jej charakter, cechy przynależności do pewnej epoki i środowiska, cały prymitywny wdzięk prostoty, z każdego przedstawienia wynosiłem wrażenie, że wystawiony utwór pełniejsze i głębsze robiłby wrażenie w czytaniu niż w całym aparacie sceny, kulis, kostyumów i aktorskich giestów.

Przytoczę inny, bardziej jeszcze charakterystyczny fakt. W dzień jubileuszu A. Świętochowskiego na scenie teatru Wielkiego w Warszawie, wystawiono „Aspazyę“. Była to chwila z wielu względów uroczysta, a na jej nastrój złożyły się rozmaite okoliczności: przedewszystkiem więc władze rosyjskie w przeddzień jubileuszu cofnęły pozwolenie na odbycie uroczystości — niechybny w Warszawie środek na podniesienie nastroju. Dozwolono jedynie na wystawienie „Aspazyi“ i z tego faktu zrobiono tryumf zwycięstwa nad cenzurą rosyjską, nad rządowym kierownikiem sceny. A z drugiej strony był to moment pojednania się społeczeństwa z tym, którego wyklinano i odsądzono od polskości, którego się bano i przed którym ostrzegano młodzież i kobiety. W takich warunkach zasypia zwykle krytycyzm, fakty nabierają innego znaczenia i w utworze czci się zazwyczaj nie jego wartości istotne, ale zabarwienie ideowe, które rzuca na niego dana chwila. Pomimo to jednak publiczność i krytyka bez entuzyazmu przyjęła „Aspazyę“, gotując jej chłodny „succés d'estime“. Rzeźbione frazesy wytwornego stylisty, traciły na scenie wdzięk, ostre jak strzały aforyzmy byłego „Posła Prawdy“ przelatywały niepostrzeżone, a natomiast, rzecz dziwna, akcentowały się wyraźnie wszystkie miejsca słabe, zaprawne dydaktyczną deklamacyą. Pewien dowcipny krytyk warszawski zaznaczył, że długie tyrady z „Aspazyi“ brzmiały jak urywki z postępowo-demokratycznego dziennika, wydawanego w Atenach za czasów Peryklesa. I rzeczywiście co najbardziej raziło w „Aspazyi“ ze sceny, to ten kostyum grecki, zbyt luźno narzucony na pozytywistyczne założenie sztuki.

W „Irydyonie“ kostyum grecko-rzymski zachowany jest daleko pełniej — tu na forum romanum nie mówi się o wrogach, którzy są „budzikami“ niedającymi mężowi czynu zasnąć na zdobytych laurach. „Irydyon“ nie traci tak wiele na scenie, jest on jak dobrze narysowany obraz, który nie boi się zetknięcia z lustrem, ale czy zyskuje przez uplastycznienie swych form i myśli? Ze wszystkich postaci jeden może tylko Heliogabal posiada cechy realnego życia w rozkładzie, wszyscy zaś inni od Massynisy i „Irydyona“ począwszy, aż do tej rzeszy chrześcijan, snujących się po katakumbach i śpiewających hymny, są raczej symbolami, nie postaciami, ale upostaciowaniami pewnych idei, które zmagają się ze sobą w sferze abstrakcyi. Wobec takich założeń, plastyczna ich realizacya pomniejsza, zdaniem moim, i obciąża tylko ich ideowe walory, przysłania je cieniami przypadkowej rzeczywistości i nie pomaga do ich podchwycenia, że pominę już milczeniem ustępstwa na

rzecz sceny, a przedewszystkiem skróty, które w labiryncie myśli przewodnich czynią luki i mielizny.

Dlatego też, nie uchylając się od uznania dla artystów i sceny, która podjęła się tego trudnego zadania, dla samego eksperymentu nie umiem wykrzesać z siebie ani podziwu, ani nawet iskry artystycznego zadowolenia.

Dr. T. WARYŃSKI.

ANGLICY W AFRYCE.

— Mój Panie, tragarz to jak koń! Chcesz, aby daleko szedł i ciężkie nosił skrzynie! Daj mu dużo obroku; dużo mąki, mało p a t a t (kartofle afrykańskie)! A jak się buntuje, dobrze szpierutą po karku. Ale rzadko. Cóż to Panie? Przecież to bydło murzyńskie musi dla nas pracować! Silne, ale leniwe bydło; bez musu niczego z niego nie będziesz miał. Jakaż tu kolonizacya możliwa bez siły roboczej Negrów? Przecież Europejczyk w Afryce nie może pracować. On może tylko kierować pracą.— Kiepsko, Panie, w naszym Kongo belgijskim! Prawo nie zmusza krajowców do pracy! To samo wasze prawo pozwala, aby negr niemożliwe ceny stawiał! Jakże chcecie kolonizować bez taniego robotnika! Kilka lat temu bezmyślnie rujnowaliście ludność, wyciągaliście z niej ostatnie soki, a teraz zakochaliście się raptem w maszynach i uniemożliwiacie rozwój handlu i przemysłu. Wy, Belgijczycy, nie macie poczucia miary. Tępiliście ludność, a teraz podkopujecie byt handlu i przemysłu. U nas w angielskich koloniach, w Rodezji naprzykład, zupełnie inaczej się dzieje. Po pierwsze nie wolno się znęcać nad czarnymi, za to się płaci duże kary, albo nawet idzie się do ciupy. Ale kiedy potrzebujecie tragarzy, rzecz bardzo prosta, zwracacie się do najbliższego posterunku policyjnego i mówicie: chcę sto tragarzy. Składacie kaucyę w ręce naczelnika, jako gwarancyę, że tragarze będą zapłaceni i po dwóch dniach macie swych tragarzy zarejestrowanych w księgach policyi. I biada temu, co ucieknie. Policya go zawsze odnajdzie. Uciekinier będzie pracował dla rządu przez rok lub dwa lata. Wie o tem każdy negr i rzadko który ucieka. A tu, w Kongo, co się dzieje? Pierwszy lepszy łapserdak zwerbuje ludzi, każe im nosić, i potem nie zapłaci. A przyjdzie „solidny" handlowiec i ci sami tragarze opuszczą go w dżungli. Udasz się się Pan do policyi? Pan porucznik kiwnie smutno głową — nic nie mogę zrobić! I to się nazywa kolonizacya, i to się nazywa opieka nad czarnymi?

Tak Panie, trzeba czarnych szanować jako cenną siłą roboczą, bez której nic nie możemy uczynić! Ale trzeba to mądrze robić. Trzeba zmuszać czarnych do pracy, trzeba ukrócać ich samowolę, jak również trzeba karcić bandytyzm handlarzy ludzkim towarem, który w waszym Kongo w tak wysokiej praktykuje się skali.

Powtarzam prawie dosłownie nonolog „solidnego" kupca, Anglika, oburzającego się na brak zmysłu kolonizacyjnego u Belgijczyków.

I trzeba przyznać, że Anglicy są mistrzami w sztuce kolonizacyjnej, w owej sztuce wyciągania olbrzymich korzyści przy minimalnych kosztach, z każdego zagarniętego zakątka ziemi dziewiczej, dzikiej lub egzotycznej. Trzeba się wprzód przyjrzeć stosunkom panującym w innych koloniach, aby należycie ocenić dziwną giętkość i sprężystość polityki kolonialnej Anglików.

Francuskie kolonje przeżarte są rdzą stęchłego biurokratyzmu, Portugalskie kolonie słynną w całej Afrycy z anarchii, bezgranicznej samowoli i przekupstwa urzędników państwowych.

„Chce Pan tragarzy? Idź do kolonii Portugalskiej, daj urzędnikowi tyle od głowy, a sprzeda ci tysiąc, dwa tysiące ludzi na roczny lub dwuroczny kontrakt."

— Albo inne zdanie: „Udałem się wioski; nikogo nie zastałem. Dlaczego uciekli? pytam się towarzysza drogi.

— Oni tak zawsze robią. Portugalscy handlarze wykradają najpiękniejsze dziewice i wywożą je podobno do Antyl.

— „A władze?" — Władze! Zapłać Pan policyi kilka funtów szterlingów, a będziesz mógł kraść, zabijać, ile chcesz — a raczej, aż cię krajowcy sami nie zamordują".

A w Niemieckich koloniach? Ma się rozumieć koszarowy system pruski. Niedawno, dziennikarz dostał się do więzienia za krytykowanie w swej gazecie polityki gubernatora Afryki Wschodniej. W Niemieckich kolonjach każden pracodawca ma prawo chłosty nad najemnikami. Ład, porządek ale niema chyba kolonji, gdzieby krajowcy bardziej cierpieli od ucisku białych ludzi; i tam najliczniejsze są wypadki pojedyńczych napadów na Europejczyków". W Togoland, nie wychylaj się Pan daleko od posterunku, bez eskorty, nie wróci Pan". Tak mówił oficer pruski stamtąd powracający.

Anglicy szacunek wzbudzać umieją u krajowców; Niemcy tylko strach przed brutalną pięścią.

Co charateryzuje najbardziej angielską metodę kolonizowania, to ogromna rola, jaką tam odgrywa prywatna inicyatywa. Anglik pracuje dla sie-

bie, chce się za wszelką cenę wzbogacić, bo więcej, niż gdzieindziej w Anglji „biedny“ człowiek, to społeczne zero. Ale jednocześnie duma narodowa każe mu zatknąć swój narodowy sztandar, tam gdzie on pierwszy przybędzie.

Zdarzy się, że władze będą go ścigać, jeśli jego metody kolonizacyjne okażą się zbyt bandyckie, ale zagarniętej ziemi, Anglia nie wypuści z rąk. Przecież wszyscy wiedzą o podstępnym zajęciu Gibraltaru. Winowajca został oddany pod sąd wojenny, ale... Anglia zatrzymała Gibraltar. Stare to dzieje. Mamy w Afryce jaskrawszy przykład polityki: słynnego Cecil'a Rhodes, genjalnego machera, przezwanego Napoleonem Afrykańskim. Za jego inicyatywą powstała kompania prywatna *Chartered Company* z monopolem na 99 lat, która zagarnęła ów ogromny obszar Afryki Centralnej, zwany Rodezją. Kompania owa rządzi krajem, ma własne wojsko, własną pocztę, i monopol handlowo-przemysłowy. A przecież to kolonia angielska, w której faktycznie rząd angielski żadnej nie odgrywa roli. I ten kolosalny obszar ziemi został zdobyty przez zaborczy geniusz jednego człowieka, popartego przez finansistów angielskich. I to nie był łatwy pokojowy zabór. W stolicy Rodezyi, w Buluwayo, jest pomnik kilkuset Europejczyków zamordowanych przez wojowniczych Matabelesów podczas ostatniego powstania, 15 lat temu. W górach gdzie broniły się rozpaczliwie ostatnie oddziały powstańców, jest grób Cecil Rhodes'a. Kazał się tam pochować, żeby Matabelesi wiedzieli, że choć umarł, duch jego czuwa, zdobywczy, nieugięty duch Anglii.

Forma, przepis prawny, podobnie jak w Anglii ogromną odgrywa tu rolę. W czasach pokojowych prawo stanowczo broni nietykalnośsi życia ludzkiego i, że tak powiem, godności podbitych narodów. Zabić murzyna, znieważyć wodza, bardzo to srogo karane przestępstwa... o ile przestępca dostanie się wypadkiem w ręce sprawiedliwości. Ale, w praktyce podbite plemiona dobrze czują ciężką stopę zdobywcy. Tam, gdzie policya i sędzie daleko są, wódz który odmówi tragarzy lub żywności zapozna się z *Chicote**), no i Anglik z własnej inicyatywy weźmie w plantacyi i wszystko, co potrzebuje. W Kongo belgijskimi specyalnie w Katandze mamy setki uciekinierów z Rodezyi, sumienia tych panów obarczone są rozmaitymi grzechami. Jeden z takich panów, dorobił się tu w kilka lat majątku i jest „persona grata“ u gubernatora i władz belgijskich, no i ma się rozumieć działa w zupełnem porozumieniu z nieoficyalnym konsulem angielskim. A przecież, w dżungli, dziwne słuchy chodzą o „metodach“ tego jegomościa — każden dowódzca posterunku policyjnego, słyszał o werbowaniu tragarzy z browningiem w ręku, o kobietach ze sznurem u szyi, noszących ciężary, kiedy mężczyźni uciekli do lasu, i o innych rozmaitych rzeczach. Dziwne mamy tu przeciwieństwo między brutalną zaborczością „awangardy“ kolonistów angielskich a karnością, panującą w zupełnie zajętych i zorganizowanych obszarach. Dużo się mówiło i mówi o *clergymen'ach* — kupcy jak cały naród. W Musofi, pięciu czy sześciu tych panów spotykałem. Każdy z nich wymyśla na kolegę: Ach! to kupiec. Sprzedaje biblię i ubrania, jakie mu z Anglii posyłają!“ Każdy urąga na sąsiada i każden to samo robi.

W Afryce Południowej i Centralnej ogromną rolę odgrywa „wolnomularstwo“. Angielskie wolnomularstwo nic nie ma wspólnego z poznańskiem. W Anglii jest to organizacya filantropijno-religijno-mistyczna. W Afryce, jest to rządowo — geszefciarska organizacya. Są to poprostu kluby, bardzo drogie, do których dopuszczani są tylko ludzie z pozycyą. Mają swe kaplice z wolno mularskimi napisami, na równi z innemi sektami religijnemi. W Buluwajo istnieje jeszcze taka świątynia wolnomularska.

Na okręcie miałem okazyę rozmawiać z imperialistą, lordem Earlof Meath. Jest on prezesem stowarzyszenia imperialistycznego *Empire Day* — prezes i twórca — i zdaje się najważniejszą ekonomiczną podporą towarzystwa. Konkurentów ma zresztą dużo, bo każden bogaty lord ma „swoje takie towarzystwo.“ Empire Day, 24-go Maja (Dzień cesarstwa) jest rocznicą narodzin królowej Wiktoryi. A że podczas panowania zmarłej Wiktoryi, Anglia doszła do szczytu swej kolonialnej potęgi, imperialiści angielscy postanowili czcić ów dzień jako święto „Cesarstwa“ angielskiego. „Empire“ znaczy raczej tutaj „Potęga.“ Jest to jeden z środków moralnych, politycznych, jakie używają imperialiści angielscy dla stworzenia spójni między różnemi posiadłościami angielskiemi. Bo mamy tutaj dwie tendencye: odśrodkową i dośrodkową. Centralizm jest zupełnie przeciwny psychologii angielskiego narodu i metodzie polityki angielskiej. A więc, w miarę jak o jakiejś kolonii, rozwija się „świadomość lokalne“, że tak powiem, owa kolonia otrzymuję od rządu centralnego coraz więcej samodzielności; powstają autonomiczne lub federalne kolonie, jak Kanada, Australia, Południowa Afryka.

Z drugiej strony, Anglia ogromnie dba oto, aby jaknajsilniejsze węzły łączyły nadal samodzielne dzielnice z „matką — ojczyzną“. I to nie zawsze łatwe zagadnienie. Jednym ze środków jest wzbudzenie „dumy cesarskiej“ że tak powiem. „Jesteś kanadyjczykiem, jesteś wolnym obywatelem wolnej ziemi, ale nie zapominaj o tem, że esteś, jeśli nie Anglikiem z krwi i mowy, to wolnym członkiem angielskiej potęgi, że jesteś synem „Empire“. „Bądź dumny z tego. Niewolnikiem nie jesteś. Jesteś wolnym obywatelem — a więc dbaj o tę wolność, którą ci zabezpiecza przynależność do „Empire“. Dbaj więc o „Empire“; kochaj ów „Empire“; niech to będzie twój „sen o potędze“. Bardzo mądra polityka, bo czyż jest bardziej suggestyjny środek, jak nawoływane do „dumy ludzkiej“.? — Ale nie wszędzie owe nawoływania znajdują oddźwiek, naprzykład Indye. Oddźwięk jest wręcz przeciwny. Indye się budzą ale do „własnego snu o potędze.“

Tego samego lorda pytałem się. „A cóż z Indyami myślicie robić.“

— Tak, Indye to straszny kłopot. Nas się tam boją, ale nas nienawidzą. I samodzielności nie możemy im dać teraz, bo nas wyrżną do nogi. To są niewolnicy, przyzwyczajeni do bata swych radżasów. Nieumieją ocenić naszych ojcowskich rządów“. Czy już tak bardzo ojcowskie rządy, to śmiem powątpiewać. Ale tu jest inna przyczyna — różnica kultur. Anglicy uważają Indusów za dzi-

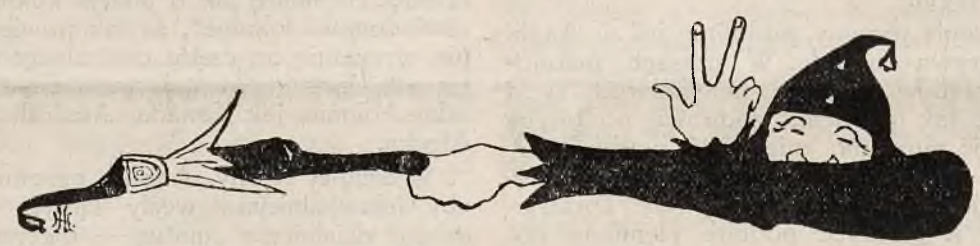
*) szpitzruta.

kusów, a Indusi Anglików za barbarzyńców. Induska kobieta, która wyjdzie za Anglika, będzie poniewierana przez angielskie „towarzystwo“, a często zamordowana „za zdradę“ przez ziomków. Anglicy zresztą wiedzą, że obudzenie się „świadomości lokalnej“ w Indyach, będzie poprzedzało nowe powstanie. Tam jedyną możliwą polityką jest zjednianie — sobie „arystokracyi‘ i tamowanie rozwoju lokalnej kultury. Tak się też dzieje. Polityka kolonialna angielska jest bardzo elastyczna — przystosowana zawsze do lokalnych warunków.

W Afryce Południowej mamy teraz komiczne zjawisko — Anglia dała samorząd koloniom południowo-afrykańskim. Żywioły holenderskie, stojące u steru władzy, urządziły „figiel“ — nałożyły ogromne cła na towary angielskie, słowem polityka protekcyonizmu. Ma się rozumieć rozgoryczenie w Anglii — Jakto? Afrykańskie produkty mają wolny wstęp do Anglii a nasze towary muszą tam płacić cło?. Pobici Burowie się mszczą; to nie jest nawet zemsta, t. j. manifestacya samodzielności lokalnej. „My żyjemy przedewszystkiem dla siebie samych. Jesteśmy samodzielni nie tylko na papierze, ale i w rzeczywistości czynnie“. Imperialiści angielscy hałas ponieśli. Ale co mogą robić? Wiedzą przecież, że nie mogą odebrać wolności nadanych. Zbyt dobrze pamiętają krwawą nauczkę wojny burskiej. Burowie swą dzielną obroną zdobyli sobie szacunek u Anglików.

Jakie konkluzye? Angielska polityka kolonialna jest czysto praktyczna — ma na celu zdobywanie jaknajszerszych obszarów dla rozwoju inicyatywy prywatnej angielskich obywateli kolonie mają na celu, aby jaknajwięcej Anglików mogło się wzbogacać wysiłkiem i kosztem rządu centralnego. Nie chodzi o to, aby dużo posad było dla urzędników (francuskie kolonie) dla *ronds de cuir* — chodzi o to, aby kupcy, przemysłowcy, awanturnicy mogli interesy robić. Nie chodzi o to, aby Anglia posiadała tyle a tyle kilometrów kwadratowych bez korzyści, a przy wielkich kosztach (niemieckie kolonie), ale o to aby korzyści były; rola rządu centralnego redukuje się do minimum. Chcecie mieć samorząd? Dobrze; pod warunkiem, że zostaniecie nadal członkami „Empire“. Jesteście dzicy albo kulturalni, lecz bierni, będziecie niewolnikami — będziecie swym potem wzbogacać Anglię. Prawo was będzie broniło ale musicie potulnie słuchać rozkazów swych panów. W publicystyce będzie się pisało, że „cywilizujemy“ dzikie kraje, bo to ładnie brzmi. Ale „kultura“ to siła; kto silny, ten kulturalny. Bądźcie dumni, że należycie do arcykulturalnego, potężnego, „Empire“. Mamy zdrowe pięści i dużo rozsądku, by zdobywać dużo pieniędzy — i umiemy ładnie mówić o tym, co dla niektórych smutno i brzydko wygląda. Angielska polityka kolonialna jest może najsympatyczniejsza ze wszystkich, bo najrozsądniejsza. Jest to „mądrze“ prowadzony rozbój, — bez niepotrzebnych okrucieństw, — z logiczną łagodnością jakoteż z logiczną bezwzględnością. A o innych „kulturträgerach“ kolonialnych, nie możemy nawet takiego sądu wypowiedzieć.

Katania — Grudzień 1911.



SPRAWOZDANIA.

Herbert Sand. „Współczesny dramat polski“. Książnica literacka i artystyczna. Kraków 1911. Str. 157.

W oderwaniu od wszelkich zagadnień życia codziennego, pod kątem widzenia tragedyi trójzaborowej Polski, z krytycznym i dziejowo-psychologicznym aparatem koncepcyi, odbiegających daleko od kabotyńskiego rozmiłowywania się w bohaterach współczesnego dramatu, z nadmiernym może słownikiem napuszystego patosu, przesiąkniętego duchem i krwią Brzozowskiego, napisał p. Herbert Sand swą książkę. Spryt i zdolność budowania abstrakcyjnych teoryi, często nie bardzo bliskich tematowi, łączy się u niego z wyrobioną pamięcią słów, która czytane karty książki nakazuje śledzić bacznie, a przedmiot samej książki, chociaż czasami mętny i niezrozumiały czyni niejednokrotnie zajmującym. Lubowanie się w paradoksalnych przeciwstawieniach, bez artystycznej jednakowoż proporcyi, tchnie w ogólnym charakterze Wildem, choć w duchu i kulturze dalekie jest ono od porównań, więcej pierwotne i wybuchowe. Napuszystość niepotrzebna objawiająca się w używaniu obcych słów i pompatycznych a pretensyonalnych wyrażeń chociaż razi niejednokrotnie, bądź co bądź nie zaćmiewa prawdziwego talentu krytycznego i głębokiej skłonności ku syntezie.

Dramat polski nosi na sobie piętno trójzaborczego życia polskiego. Wszystko zdąża ku tragedyi, wszystko obraca się wokół tego problemu, żaden jednak z pisarzy współczesnych nie pochwycił go. Najbliżej zda się przypływa Miciński. Byzancyum, zaśniedziała forma polskiego bytowania stała się jego sprawą, sprawą duszy dążącej do wyzwolenia. Przybyszewski dał dramamatowi polskiemu formę — nauczył — jak pisać dramat. Rozmodlony Kasprowicz, czujny na wszystko Żeromski, Grek—Wyspiański i wszyscy oni krążą wokół tragedyi polskiej — jedyny Staff odrywa się od plejady i samotnie śni o potędze, marzy o rzeczywistości innej, właśnie wytworzonej... on nigdy nie zrozumie tragedyi, dla niego wszystko przemieni się w sen o mocy. Rzeczywistość nie dotknie go, ani on w Rzeczywistości prawdziwej tragedyi nie wyrzeźbi. Z pomiędzy pisarzy, którzy rzeczywistość w teatr przemienili — wybija się dlań W. Feldman. On najświadomiej z pomiędzy wszystkich tworzył swoich bohaterów, najmniej współczuł z nimi, najwięcej wzniósł się w ton epiczny — Kisielewski najbardziej zniżył się ku „karykaturom“ — ujrzał w nich prawdziwe życie i dlatego przedstawia dla p. Sanda „smarkateryę“... farsy i kabaretu.

Dla niego żaden pisarz nie jest artystą — każdy myślicielem. Oto do czego sprowadza wybujały intelektualizm, gotowy uznać najlichszy bodaj wylew myśli — byle niecodziennych. Ten punkt widzenia zaślepia go, rozdrażnia i pozwala nurzać się w patosie. Punkt widzenia młodzieńczy jeszcze, gorączkowy, wskazuje, że filozofia byłaby dla niego polem do zdobyczy. W literaturze jednak i w sztuce obowiązują inne sprawdziany, wolno je zmieniać lecz nie wolno narzucać kryteryów obcych, społeczno-moralnych czy czysto filozoficznych. To co krępuje sztukę czy literaturę w rozwoju jej formy — *c'est intolerable.*

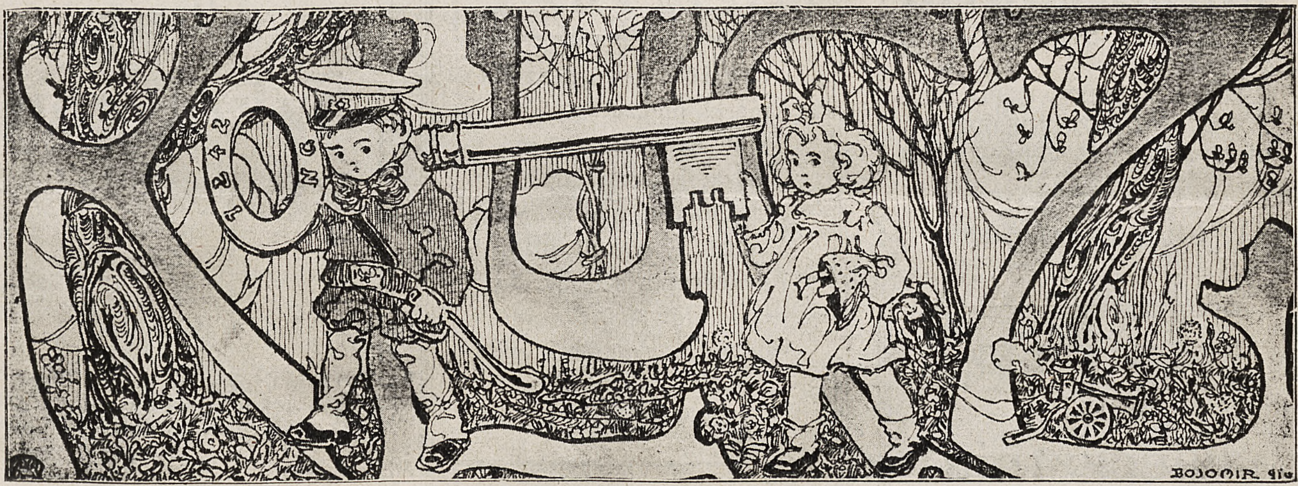
Poz[illegible]tem wszystkiem powtarzam to, co wypowiedziałem już na [illegible]nem miejscu, książka pana Sanda jest naprawdę dziełem talentu krytycznego i naprawdę nastręcza cały szereg myśli, mimo to chociaż pełnych jeszcze przeżyć z Brzozowskiego, mimo to co najbardziej oryginalnych, a patos sztuczny i afektowany — to co jak widać w książce razi — to tylko odgłosy umiłowanego rzeczy innych przez p. Sanda Brzozowskiego. Można czekać [illegible] dojrzalszych, pełniejszych.

Walerya [illegible] zwodniczą". — Opowiadanie his*Szalay*. „Za gwiazd[illegible] nakładem „Macierzy Polskiej" we Lwowie [...]toryczne z 1812 r. — kor. str. 165.

Lepiej by był[o], [gdyby] pani Walerya Szalay, książeczkę swą zatytułowała [t]o, gwiazdeczką zwodniczą" — bo wtenczas może więcej [zbl]iżyłaby się do opisywanego przedmiotu. Gwiazdeczki, rycerzyki, rzeczki w rodzaju Berezyny, czyściutkie i schludne chateczki, żołnierzyki, drzewka, słoneczka w rodzaju Napoleona — wszystko to — najtajniejsze marzenia pani Szalay. Nie! Nie pani Szalay, bo książka pisana dla ludu, a więc marzenia ludu! Prawda! Tak można było pisać historyczne książki przeznaczone dla chłopów i „rzemieślników" za czasów Korzeniowskiego, ale dzis, gdy Sienkiewicz napisał w „Pustyni i puszczy", gdy Kasprowicz dał „Bajkę o drewnianym koniu", a Sieroszewski „o żelaznym wilku" — dziś książeczki takie są nieco spóźnione i nawet dziecko nie zajmie się niemi. Miłować lud nie sztuka! Trzeba umiejętnie miłować ludzi niewykształconych i umiejętną karmią ich żywić — by nie zechcieli głowy odwrócić od podawanego jadła. Jeśli powieścią historyczną chce się młodzież oświecać w historyi — przeto powieść historyczna nie tylko zajmująco i gładko powinna być napisana, ale i z pewną wartością literacką! — Nie dużą! — Ale charakterystyczną. Gdy mu się poda ludzi chociażby najszlachetniejszych, jednakże bez wyraźnej twarzy — to lud nietylko, że tak dobrze powieści owej nie zrozumie, ale owszem stanie mu się ona nudną, nudniejszą niż dla czytelnika inteligentnego, który skory jest i w najbanalniejszych rzeczach doszukiwać się choć skry talentu. Nie wina to pani Szalay, że książka jej bez charakteru, że nie przedstawia minimalnej wartości literackiej, ale wina owych sfer, które kierują ludowemi wydawnictwami. To, co dla ludu wedle ich zdania — to powinno być przesiane, przecedzone, przesączone przez nieskończoną ileść rzęszot, by się mogło dokładnie wyczyścić z wszelkiej plewy oryginalności, z wszelkich „szaleńczych" pomysłów, a doszło do rąk „ludu" w postaci czystego ziarna jałowej bezradności.

Pani Szalay wywiązała się ze swego zadania zakreślonego przez owych kierowników z zupełną dokładnością. Wywiązała się dobrze, gdyż obdarzyła lud powieścią z rycerzykami o stalowej piersi na konikach lśniących od czystości idących w bój za Napoleonem z dworków i chatek czyściutkich, schludniutkich, po drożynce starannie wysypanej piaskiem i ozłoconej słońcem, do obozów pełnych ładu i porządku z uczuciami prawdziwej miłości bliźniego, Pana Boga, ojczyzny i Basi, o sercach otwartych i jasnych jak kwiatuszki. Wszystko to ma przemówić do ludu, natchnąć go wiarą w odbudowanie Polski. dać mu moc w rękę, moc do kruszenia zaborów to baśń o dobrym carze i cesarzu. Jak się komu zdaje!?

Tyle co do założenia. Co zaś do samej rzeczy, co do przeprowadzenia owej teoryi, pani Szalay nadała książce kobiecą miękkość, afektującą częstokroć potęgę i siłę męską. Język gładki, za gładki może, porównania stare, oklepane, scenom mającym być tragicznemi brak siły tragicznej. Pani Szalay musi przyznać, że oczy wszystkich walczących na brzegu Berezyny nie mogły być zwrócone na Marcysia, ratującego Wacka z jej odmętów. Ale to drobnostka! Lud książkę może czytać i cenzura szkolna pozwoli na jej rozpowszechnienie, gdyż tchnie przez nią wiara w Boga i Ojczyznę — jak z odpustowego oleodruku!



„ŻYCIE" wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawca: HIPOLIT ŚLIWIŃSKI.

Redaktor odpowiedzialny: ALEKSANDER NAWROCKI.

Kierownik pisma: STEFAN GACKI.

ODBITO W DRUKARNI „PRASY". LWÓW, ULICA SOKOŁA L. 4. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".